Rozmaitosci.

Pismo to wychodzi w każdą NIEDZIELĘ, w Drukarni St. Gieszkowskiego.

Nr 31.

Zaliczenie na 3 miesiące kosztuje Złp: 3.

Kraków dnia 3 Sierpnia 1834 roku.

MARYSIA Z ANDRYCHOWA.

POWIEŚĆ POLSKA.

Rozdział VII.

ZARĘCZYNY MARYSI.

—

A każdy rad cię uyrzeć, rad posłyszeć z bliska,
Choć w ubraniu pasterki, widno żeś Królowa.
Mickiewicz.

Pół roku już upłynęło pobytu mego w Warszawie, a mnie zdawało się nieraz, że w niey dopiero od kilku dni zostaję. — Nayszczęśliwszy z kochanków, nieznałem, co to jest na jednę chwilę, mieć zasępione czoło; — nieporównanéy czułości i dobroci Marysia, umiała zeń spędzać chmurki anielskim swoim uśmiéchem, który z jey ust różanych prawie nigdy nieulatywał. Zawsze wesoła, zawsze choża, napełniała serce moje radością ile razy wolne od pracy godziny, mogliśmy poświęcić miłey schadzce.

Powoli weszło w zwyczay, że poczciwi oycowie nasi, mało kiedy zazierali już do sklepików, zdawszy na nas zupełnie cząstkowy handel. — Wszyscy sąsiedzi kochali nas i niezazdrościli bynaymniey, że nam się dobrze wiodło; — sam tylko nienawistny Pan Stefan, przegradzając nas na nieszczęście swoim kramem, był jedynym człowiekiem, który nam złego życzył, i z ukosa poglądał na czystą miłość naszę. — Z twarzy jego zawsze pomarszczoney niechęcią, łatwo można było wyczytać, iżby rad był jakim kolwiek sposobem, związkowi temu, — szatana przeciwności stawić na drodze. Do ustawicznych dąsań i to wielkim było powodem, że usłużność i uprzymość dla kupujących, którey ja powiem prawdę, że się nauczyłem dopiero od Marysi, po całych dniach zapełniała nasze sklepiki wszelkiego stanu osobami, pod czas gdy u Pana Stefana nieraz tak bywało pusto jak wymiótł; — do czego sam dawał słuszny powód rubasznością swych obyczajów, i grubijańskiém obchodzeniem się z ludźmi. Kasperek wieczny jego nieprzyjaciel, skrobał mu na palcu marchewkę, ile razy przypadło im, stanąć razem przed swymi sklepikami. To już jak dwa zaciekłe koguty, jątrzyli się jeden przeciw drugiemu, wyrządzaniem sobie nawzajem rozmaitych szyderstw i obelg, a wszystko to na migi, — to wyszczérzaniem zębów, — to wykrzywianiem twarzy, — to nakoniec darciem się przeraźliwém na kozach, na przekór jeden drugiemu; co nieraz dziwnie komiczną nadawało im postać, — a dla nas wielokrotnie było źródłem pustego śmiéchu. —

W tak słodkiém zostając skojarzeniu, z tęsknotą oczekiwałem już tylko, na rocznicę urodzin Pana Marcina; bo jak mi przepowiedziała Małgosia, tak się spełniło co do słowa: Pan Marcin, gdy mu oświadczyłem chęć moję, — zaraz w kilka tygodni po zabraney przyjaźni z córką jego; powiedział mi bez ogródki: »Zgoda móy Pawełku, — jak skoro ano kochacie

się, — a my też oba z Waszecinym rodzicem kochama się z tak dawień, toż się i pobierzecie; jedno sobie waruję, aby ślub do moich urodzin odłożyć, bo to u mnie, Mości Panku, taka już haw jest moda; — a wiele też w tym dniu naczętego, pobłogosławił mi Pan Bóg, to też pragnę aby i wam wszystko dobre dał».

Czas chyżym lotem unosił na skrzydłach swoich, drogie chwile miłości, dwoyga nierozerwanych kochanków. Szybko minęła jesień, zima, ledwie że nam się czasem przypomniała ostrą zadymką śniegu z piaskiem, natrętnie do naszych płociennych kramów zadmuchniętą, — przyszła nakoniec i wiosna 1794 roku, pamiętnego z okropney burzy wojennéy, która i na naszę ustroń domową, zgubny swóy wpływ wywarła. —

Kiedy człowiek na piękne sobie marzy i próżnością się nadyma, że już stanął u zamierzoney mety; — aliżci niewidzieć skąd, powstaje nawałnica, — i Bóg wie, jak daleko odpędzi łódkę szczęścia od brzegu. Tak było ze mną i naycnotliwszą Marysią. Wśród naypięknieyszey chwili życia, nayczarnieysza chmura zagłady wzniosła się nad głowami naszemi — i piorun uderzył. —

Ale na cóż uprzedzam czytelnika obrazem okropności, kiédy mu w przód opisać winienem to, co naypiękniejszy dzień życia dla każdego stanowi!.. — za czém wszystko z tęsknotą wzdycha: — i młodzieniec oddany naywznioślejszym widokom, — i nayniewinnieyszadziewczyna, którey czysta i nieszkażona dusza z niebem jeszcze rozmawiać może, — to jest dzień ślubu. —

Nawałność o którey wyżey nadmieniłem, wzrastając stopniami coraz groźniey, — a przeto samo szerząc do koła obawę i niespokoyność, naybardziéj nam handlującym szkodliwą stać się mogła; każdy więc zawczasu urządzał swoje sprawy, — aby nic niezostawić na ostatnią godzinę, tak dalece: że i Pan Marcin, gotów już był od warunku swego odstąpić, i nieczekając urodzin w końcu lipca każdego roku obchodzonych, połączyć nas jeszcze w maju. Przypadek i złość Stefana, przyspieszyły istotnie chwilę naydroższą życia mego, — Wesele Marysi.

Niejaki Pan Q.... drobny szlachciurek z krakowskiego, którego ja w szkołach jeszcze pamiętam, że był ladaco, od wszystkiéy młodzi szkolnéy za liczne swoje złe sprawy nielubiony; — nienauczywszy się niczego, jak tylko w karty grać, burdy robić i brzękać ostrogami, chociaż nigdy niemiał odwagi służyć w wojsku, zwłaszcza gdy blisko nosa proch zalatał, — przybywszy tu, Bóg wie zkąd? i jakim sposobem? — zaczął niezmiernie szastać i udawać że bardzo wielkie ma znaczenie. Że zaś był wielki *gadatywus*, więc łatwo mógł niejednemu z krótko widzących, wydawać się cudem mądrości i człowiekiem na ministra albo wodza stworzonym. W naszéy dzielnicy drelicharskiéy, poznał się z nim naypierwéy Pan Stefan, i wnet po wszystkich sklepikach roztrąbił sławę Pana Q.... który widno pomiędzy prostakami chciał też prawie zrobić się głośnym, aby w potrzebie miał ich na zawołaniu do swoich niegodziwych zamiarów. — Niedługo potem, zaczął się przypytywać do innych naszych sąsiadów, — aż też raz zastałem go w moim sklepiku, i jak tylko wszedłem z wielką zaraz dumą przywitał mnie mówiąc: «Jak widzę ty Pawełku udajesz że »mnie nieznasz, albo że też istotnie krótką ob»darzony pamięcią, nieprzypominasz sobie da»wnego towarzysza trudów szkolnych. » — Na te słowa, oświadczyłem mu po prostu: że gdyby przyszło witać się z każdym, kogo człowiek znał w szkołach tylko z widzenia, bo nigdy przecież z sobą ani trzech słów niemówiliśmy w życiu, toby i czapki niestarczyło zdeymować, i natrętnym staćby się można mimo woli. » — Ta obojętna odpowiedź, rozjątrzyła, go jeszcze bardziéy, że pochwili namysłu, rzekł: »Nie tak hardo móy przyjacielu, bo niewiész z kim »masz do czynienia. Wiedz tedy, że ja dziś »wiele mogę i przyszedłem tu zawerbować Wa»szeci do mojego szwadronu.

Ja. — Czy tak? wielka szkoda że niemogę służyć; bo oto już od lat pięciu, dźwigając skrzynię z płótnem, postradałem dwa nayważnieysze palce prawey ręki, — o to patrz WPan! a dla samey tylko parady, jak to wielu nieprzymierzając, niechciałbym bydź żołnierzem. —

Pan Q.... *złośliwie)* Możeś to naumyślnie i teraz już niedawno uczynił, — aby uniknąć woyskowości, i tym łatwiey ożenić się z córką Marcina? —

Ja *z gniewem.)*— Z przeproszeniem, ale takie postępowanie, właściwe tylko jest tchórzom, —którzy wiele mówią a nic nie robią;— ja nieznam się na podobnych frantostwach.

Pan Q.... Do kogo to mówisz? czy chcesz żebym cię nauczył? —

Ja.— Móy Panie, — naszedłeś mię widzę z czyjeś namowy, albo z własnego nierozumu. Idźże z Bogiem, proszę cię; — bo chociaż mi 2ch palców brakuje, — to jeszcze potrafię napastnika na środek ulicy z tąd wyrzucić, aż mu się ze łba zakurzy!....

Pan Q... *(zmieszany)*.— Zuchwalcze! każę cię natychmiast wziąść na ratusz!...

Kasperek *(wychodząc z za kassy.)*— Dalibóg niech Wielmożny Pan nieżartuje! bo móy młody pryncypał jest silny jako lew, a rozdrażniony, w pada w groźniejszy gniew od tygrysa. Nikogo niezaczepi to prawda, ale raz obrażony, gotów na sztuki rozszarpać. *(Z szyderstwem)* Dali Bóg, jakby Wielmożnego Pana dmuchnął... to niech mię wciornoscy porwą — niebyłoby się po co schylić!....»—

Zaledwie tych słów dokończył móy Kasperek, które strąciły do połowy straszną minę junaka; — niespodzianie wchodzi do sklepiku mojego Pan J.... porucznik z regimentu Mirowskich, młodzieniec bardzo szlachetnych obyczajów, wielce uprzeymy i bogaty, który niepoglądając nawet na Pana Q... rzecze do mnie: »Słuchay Pawełku, dziś wieczorem daję u siebie małą ucztę, dla kilku dobrych przyjaciół; a ponieważ i ciebie z przyjemnością, od urodzin Pana Marcina, do rzędu ich policzam, proszę cię więc, ażebyś mi twéy łaski nieodmówił i zaraz po siódméy godzinie, przybył do mojéy kwatery; — wszakże to w bliskiém sąsiedztwie szacowney twéj Marysi, więc będziesz mógł i do niey wpadać.»

Z uczciwością przyjąłem zaproszenie, — ale chcąc dobić resztę spylonéy dumy Pana Q... rzekłem do porucznika: »Ale że na to jeszcze potrzeba mi zezwolenia Marysi, więc przebiegnijmy do niey; — zastaniemy tam prócz tego wyborny likier gdański i toruńskie pierniki — a przed obiadem nie zaszkodzi.— »Zgoda!» rzekł dobry młodzieniec, — i wyśliśmy wziąwszy się pod ręce, zostawując obojętnie wstydem i gniewem zapyrzonego szlachciurkę, jako osobę małéy wagi, którego ja bezczelnych odwiedzin wcale jeszcze pojąć niemogłem, ani też miałem chęci zastanawiać się nad ich przyczyną.

Za powrotem, niezastałem już w prawdzie Pana Q.... ale natomiast Kasperek bardzo był niespokoyny, ostrzegając mnie: »Że to niebezpieczny jest człowiek, — że nam grozi straszliwą zemstą, i wychodząc powiedział: »*Poznałem ja tę Marysię, i ręczę, że w 24 godzinach będzie moją,— albo w 24 godzinach wszystkich Andrychowiaków z dymem puszczę!*

Ja.— Żartuję z jednego półgłówka! —

Kasperek.— Jednak lepiéy mieć się na ostrożności... bo okropnie wiele mówił i groził, aż mię strach!....

Ja.— Niewierz temu, — gadać może barwiele — grozić jeszcze więcey — ale zresztą nic! — Już to samo że grozi, — dowodem jest, że z jego strony niema się czego obawiać.—

Kasperek.— Ja mam jakieś niedobre przeczucie....

Ja.— Ależ bo ty zawsze z twojemi przeczuciami!

Kasperek.— Aż struchlałem potém, że tak z początku zuchwale obruszyłem się na niego. To złośliwy i straszny człowiek.... on ma coś bardzo zgubnego na myśli.—

Ja *zniecierpliwiony*.— Porwan diabłu, już mi o nim więcéy niebarłóż.

Kasperek.— Powiada, że go Stefan chce ożenić z Marysią, i lubo z nią jeszcze mało mówił, lecz że mu się bardzo podobała, i za każdém słowem powtarzał: »*Muszę ją mieć..!*» Ztakiemi szaławiłami dziś nie można żartować, skoro wszystko warzy się jak ano w kotle, a każdy sobie pan! —

Ja.— Niech no zacznie!

Kasperek.— To chytry wąż! — Gdyby to wiedzieć kiedy zacznie? — ale on może kończyć będzie już wtedy, jak my dopiero pomyślemy że zaczął.

Ja.— Powiedz mi, zkąd ci ta niespokoyność, z powodu jednego pospolitego junaka?

Kasperek.— Ja się już boję co mówić! Czy uwierzy Pan Paweł, że on mi pod sam nos krucicę z kieszeni wydobytą przymierzył, zaraz jakeście Panowie tylko wyśli....

Ja.— I cóż daléy?...

Kasperek.— Dwa noże ogromne wyjrzały mu z drugiéy kieszeni, jak się zawadził o skrzynię....

Ja.— I przeląkłeś się tego wszystkiego?

Kasperek.— Czegóż bym się miał przeląknąć? Smierci? — Alboż ja to już mało nażyłem się na świecie?— Wcale się niezląkłem o siebie,— ale zdrady, podłéy zdrady przeciwko wam boję się, bo ta może dziś nastąpić!

Ja.— No, wiesz co móy Kasperku? Przed zaczajonym zbóycą nikt się w świecie nieustrzeże, i nawet strzedz się bardzo niewarto,— bo to byłoby to samo, co chcieć się ukry pod piorunem. Jeżeli to jest taki Jegomość, jak powiadasz,— to prędzey on sam wpadnie w te sieci, które na drugich zastawia.»—

Kilka osób weszłych dla kupna, przerwały nam tę niemiłą rozmowę.— W południe gdy już Kasperek zjadł co mu przyniesiono, poszedłem na obiad do sklepiku Marysi. Czekała na mnie bardzo niecierpliwie i od razu na twarzy jey, zamiast zwyczayney wesołości, postrzegłem wielkie pomieszanie i oburzenie.

Marysia. *blada i drżąca)* Móy Pawełku powiedz mi czy znasz ty się z jakim Panem Q.....?—

Ja. A skądże ty go poznałaś?...

Marysia. *(podając mi list)* Jakiś obszarpaniec przyniosł mi to pismo przed godziną i do rąk oddał z oświadczeniem: »*Zginiesz! jak nieuczynisz tego, co ci tu jest nakazane.*»— Czytay Pawełku i oświeć mię, co mam czynić aby się obronić temu zbóycy, o którym nieprzyszło mi powiedzieć ci, że już dwa razy był témi dniami w naszym domu, zamawiając się o kupno znacznego zapasu drelichów i płócien, i tyle mi tylko powiedział, że się nazywa Q.... i że chce z nami w ściśleysze wnieyść stosunki, niżeli sobie wystawić potrafiemy!»—

List był w tych wyrazach napisany:

»Mościa Panno!

»Jestem ten sam który wchodzę z twym oycem w stosunki handlowe, bardzo dla niego korzystne; i razem jestem człowiekiem, który ciebie chcę wydobyć ze stanu nic nieznaczenia,— krótko powiem, chcę się z tobą ożenić!— Uyrzawszy bowiem WPannę, w oczach jey utopiłem serce i duszę moję! Lecz dowiaduję się, że mam współzalotnika,— że ty mu nawet czynisz nadzieję!— Jeżeli więc niechcesz lada minuty zginąć i jego śmierci bydź przyczyną — odrzuć go natychmiast!— Jeszcze dziś przyślę, albo sam przyjdę po odpowiedź.

Znany ci!

Ja. *(po przeczytaniu listu)* To zbrodniarz!.. pamiętam go jeszcze w szkołach niecnotą.— On dziś także naszedł mię! Wściekłość z odniesioney wzgardy, ośmieliła go może do napisania tey nikczemney pogróżki.— Powszechna trwoga w mieście, czyni mu próżne nadzieje spanoszenia się podstępem.—Ale nieważay na nic— znaydziemy jescze na niego sprawiedliwość.— Grozi? więc thórz!— byłoby hańbą drżéć przed nim.—

Marysia. Uprzedziłam twe myśli!. *(dobywając nowiutyńki topór z za skrzyni.)* Patrz! to moja odpowiedź dla nędznika, gdyby się poważył wpaśdź tu, chociażby z dziesięcioma towarzyszami!—

Małgosia. *(która stała w sklepiku naprzeciw otwartych drzwi, pokazując szynę żelazną od zamykania sklepu.)* Jak mi Boga potrzeba przy skonaniu, gdyby tu z gwałtem przyszedł — to mu łeb na dwoje roztrzaskam!— Zobaczema kto mocnieyszy, choć on tak dmie!—

Ja. *(do Marysi, u którey w oczach błyszczały łzy)* Cóż mu kazałaś odpowiedzieć?—

Marysia. Że nigdy niebędę żoną zbóycy»—

Szlachetna odwaga Marysi, nową roskoszą napełniła me serce, i podwoiła męztwo moje. Już chciałem poyśdź szukać tego szaleńca,— żeby się wyraźniey z nim rozmówić,— bo w takim razie jedna tylko *determinacya* wszystko stanowi; aliż mię w samym progu zatrzymał nadchodzący Pan Marcin, który zadyszany przybiegł tu z domu, niespokoyny o Marysię;—bo i on także przed chwilą był napadniony z groźbami od tego burzliwego człowieka.

Pan Marcin *(prędko do Małgosi.)* Sprzątać z kramnicy i zamykać co żywo sklep.— Dzieci moje, ponieważ Pan Bóg tak snać chce, otoż dziś wieczór wasze zrękowiny, a jutro za *indultem* ślub!— Pawełek u mnie mieszka od jutra z żoną— i koniec Mości Panku. Niech źli ludzie porywają żonę od męża, kiedy się już na wszystko niecne odważyć obiecują!»—

Tu opowiedział nam, jak go w samo południe naszedł Pan Q... z dwoma szaławiłami, i i tak samo bezczelnie zagroził jak i Marysi.—

Marysia *(całując rękę oyca.)*— O móy naydroższy tatulu!.. przy nogach twoich umrzeć, to będzie dla szczęściem!... ale pierwey drogo życie swe przedać, to jest dziś moją przysięgą!

Ja *padając mu do nóg.*— Póki ja żyję, nikt do was przystąpić z ręką zabóyczą niepotrafi!

Marcin *(sciskając nas.)*— No, no moje dzieci, niebierzcież tego znowu tak *serio*, bo jeszcze takiego strachu niemasz.— Ja też także Mości Panku, nie jestem tchórzem podszyty.— Ale żeby koniec pretensyom jednego awanturnika położyć, więc umyśliłem tedy nieczekać już moich urodzin. Bóg wie, co nastąpi!— więc tedy lepiey nam się trzymać w jedności, na wszelkie trefunki.»—

Po tey przemowie i zamknięciu sklepiku, P. Marcin kazał mi poyść do oyca, który już także był uwiadomiony o wszystkiém; sam zaś wsiadł z Marysią do dorożki i zniknął z oczu moich.

Dokończenie rozdziału VII nastąpi.